

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 27.V.62 r.

Nr 21 (221)

Cena 1 zł

KONRAD FREIDLICH

POWSZECHNY KOMPROMIS

Biblioteka Powszechna, mam na myśli serię książek opublikowanych przez najrozmaitsze, współpracujące chyba z sobą wydawnictwa, gdyż każdy tomik zaopatrzony jest w taką samą, cdy-torską winietę, obchodząc bę-dzie w najbliższym czasie jubileusz setnej pozycji. Ty-le właśnie woluminów, czy raczej niemal tyle, dzieli nas od pierwszego tytułu, sym-patycznej powieści Poli Go-jawczyńskiej pt. „Dziewczę-ta z Nowolipek”, dziś best-selleru już tylko dla dorasta-jącej młodzieży. Jest to ju-bileusz, którego może nikt nie zauważy, a może też zo-stanie zauważony i wówczas, jak to miało miejsce przy narodzinach trzydziestomilio-nowego obywatela Polski, zajdzie kłopot, komu przy-pisać laurkę, gdyż uroczy-tych tytułów może być kil-ka, rozwój serii postępuje bardzo dynamicznie naprzód, w księgarniach pojawia się naraz po kilka pozycji.

Nie jest to jedyna seria dru-kowana w tej chwili w Pol-sce, pod tym względem pa-nuje dość już głęboko zako-rzoniona moda. Mam tu na myśli przede wszystkim bar-dzo staranny cykl „Powieści XX wieku” stanowiący prze-gląd interesujących pozycji współczesnej prozy świa-towej i dobrze zestawioną „Bi-bliotekę arcydzieł”, która przynosi wybitne dzieła kla-syków od Homera do Ru-dyarda Kiplinga.

Każda książka serii zawi-ada nas, że tytuły zostały wy-brane „na podstawie an-kiety przeprowadzonej wśród najwybitniejszych polskich pi-sarzy, krytyków i history-ków literatury”. Dodajmy wreszcie, że niemal wszyst-kie wydawnictwa publikują na własną rękę, tzn. bez współpracy instytucji kon-kurencyjnych, rozmaite se-rie książek. Ogromną i za-służoną popularnością cieszy się celofanowa seria poe-tycka PIW, która nierzad-ko przynosi autorów druko-wanych w Polsce po raz pierwszy obok wyborów wierszy dawno już wyczer-panych lub też publikowa-nych u nas po raz ostatni przed wojną. To samo wy-dawnictwo drukuje miniatu-rowe tomiki prozy w ramach tzw. serii „Koziorożca”. Rów-nie poważnie przedstawia się biblioteka „Nike”, seria best-sellerów światowej prozy wydawana w małym, szcze-śliwie dobranym formacie przez „Czytelnika”. Mania cy-klów edytorskich przekroczy-ła zresztą barierę beletrysty-ki i poezji, wdarła się na te-ren literatury naukowej i popularnonaukowej, mamy „Bibliotekę Problemów” i cykl podróźniczy „Iskier” i



„Wiedzy Powszechniej” itd. itd. Wymienimy tu jeszcze jednym tchem serie literatu-ry rozrywkowej i sensacyj-nej, owe wszystkie „Labirynty” i „Srebrne Kluczyki”, „Jamniki” i „Sensacje XX wieku”, „Miniatury morskie”, „Opowieści za 5 złotych” i „Tygrysy”. Powołane cykle nie są przeze mnie wymie-nione wyczerpująco, jest ich o wiele więcej, ale już cho-dyby ta ilość obrazuje roz-miary zjawiska, a popular-ność każdego z nich świad-czy wymownie, że edycje nie są zawieszane w próżni, a każdej idącej na półki księ-garskie pozycji odpowiada nieklamane zapotrzebowanie

Dalszy ciąg
na str.

7

Na początku było ich sześćset. Dziariusz wydarzeń roku czterdziestego pię-ego podaje: „Pierwsza nara-da członków PPR — około sześćset osób”. W trzy lata później czytamy: PPR w Ło-dzi liczy ponad 36 tysięcy. Tych sześćset zaczynało. Uruchamiano fabryki. Orga-nizowano szkoły. Porządko-wało. W tym pierwszym roku po wojnie wszystko wyglądało inaczej. Miasto było inne i ludzie inni. Jed-ni pilnowali fabryk, znosili części maszyn, dzielili dwor-ską ziemię, drudzy czekali, jeszcze inni bawili się i

Pierwszy batalion

przeplajali tysiące, w Grand-ee oglądali półnagie tancer-ki. Ci, którzy pracowali, spo-żywali okropne dania w ta-nich stołówkach a drudzy pili szampa. Ginęli ludzie i wyrastały fortuny. Pełnomoc-nik rolny, członek PPR, ro-boćnik odczytywał w pod-łódzkiej wsi bezrolnemu chłopu akt nadania dwor-skiej ziemi. Ten mówił, jak notuje kronikarz: „Proszę łaski, proszę łaski, wielmożnego pana. Może

jeszcze raz, żeby głodzi...”. A z tyłu celował w pełno-mocnika czarny „partyzant”. Ja nie chcę pisać lirycz-nie. Ja nie mam prawa tak pisać. Przybyłem do Łodzi w czterdziestym piątym, gdy tamci już tu byli. Mówimy dzisiaj: PPR w Łodzi po-wstała dwadzieścia lat temu. Ale oni są starsi. Podjęli tradycję działaczy KPP i PPS, najlepsze i najbardziej postępowe tradycje SDKPiL. Ale oni są jeszcze starsi, kontynuują wszystkie spo-leczne i narodowe tradycje, jeżeli tylko chodziło w nich o postęp i sprawiedliwość. Ja nie należałem do tych sześćset. Należę do tych, którzy w powojennej fal-i szukali chleba w tej odro-dzonej i nowej Ziemi Obie-canej. Miasto nas przyjęło, miasto dało nam pracę, a tamci przykład. Bez pracy i poświęcenia tego pierwszego batalionu, nie by się nie sta-ło. W tym roku — czterdzie-stym piątym — zaczynał ba-talion sześćset ludzi. Po-tem było ich tysiące. Ilu z tych tysięcy padło od kul zdradzieckich? Ilu osierociło dzieci, żony? Nasze miasto

było w tym roku stolicą. Dzielilo tę godność z War-szawą. Przepływali przez nasze miasto różni ludzie. Zyciwi i nieżyciwi. Fałszywi i niefałszywi. Obser-wowali, oceniali. Czy pa-miętacie pierwsze żarówki, które jednego wieczoru za-błysły na ulicach Łodzi? Rozdarły się ciemności i miasto stanęło w świetle. Narodził się nowy dzień.

Ja się chcę powstrzymać od liryzmu. Dziariusz wy-da-rzeń roku czterdziestego piątego jest suchy i rzeczowy. Ale w tej rzeczowości tkwi liryzm. Przeczytajcie ten zapis z „Rzeczypospoli-tej”: „14 lutego 1945 r. Od kilku dni kursują już dwie pary pociągów z Łodzi do Kolaszek... W najbliższym czasie zostanie uruchomiony trzeci pociąg...” Pierwsze żarówki, pierwszy pociąg. I in-ne zapisy: 25 stycznia: ru-szają pierwsze tramwaje; 28 stycznia: uruchomienie ga-zowni; 28 stycznia: urucho-mienie Zakładów Scheiblera; 24 stycznia: pierwszy nu-

Dalszy ciąg
na stronie 2

ZBIGNIEW NIENACKI

Kaliskie spotkania i nieporozumienia

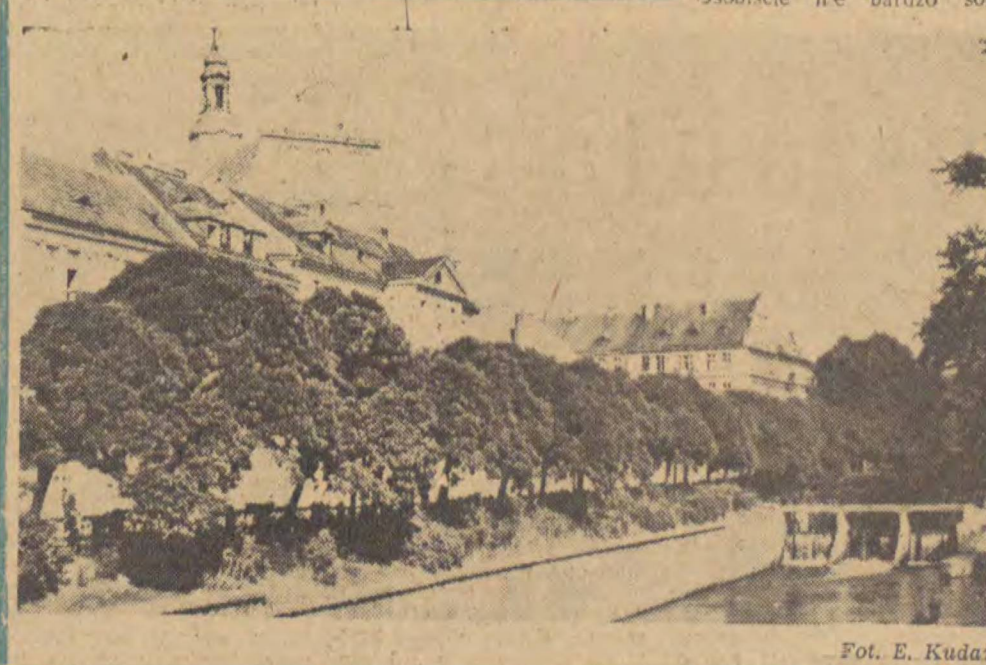
Z początku było dość nie-przyjemnie. Padal deszcz, wiał zimny wiatr, nocami w ogrom-nym parku kaliskim przeraź-liwie krzyczały pawie jak w „Don Juanie” Frischa, które-go sztukę pokazano, jednak dopiero na końcu. Z początku — powiadam — było dość nieprzyjemnie. Okazało się, że oprócz sprawozdawcy z łódz-kiego oddziału PAP i mnie, z Łodzi nie przyjechał na II Kaliskie Spotkania Teatralne żaden z przedstawicieli łódz-kiej prasy codziennej, żaden z recenzentów tych gazet. A ponieważ dwa dni Spotkań poświęcone były właśnie Ło-dzi — musiałem wysłuchać w związku z tym wielu złośli-wych uwag na temat zaintere-sowania łódzkich krytyków teatrami w ogóle, a teatrami łódzkimi w szczególności. Osobiście nie bardzo sobie

wyobrażam, jak można oce-niać łódzkie spektakle nie wi-dząc tego, co dzieje się w w-teatralnej Polsce? Najlepiej oczywiście nigdzie nie jeździć, nie nie oglądać, wówczas be-dzie można pisać — jak to jest w zwyczaju naszych łódzkich recenzentów — że w Łodzi jest najlepiej albo zgoła... najgorzej.

Tyczą to także kierowników literackich teatrów łódzkich a także dyrektorów artystycz-nych. Kierownicy literaccy i dyrektorzy przyjeżdżali do Ka-liska co najwyżej ze swymi teatrami. A przecież nie za-szkodziłoby posiedzieć przez te osiemnaście spektakli, podpa-trzyć to i owo, zwrócić uwa-gę, co się dziś w teatrach grywa i jak to się sprawdza na scenie, co brzmi współ-cześnie i co warto grywać, a co brzmi fałszywie, i czego grywać nie warto. Dalibóg, może mniej byłoby potknięć i niewypałów. Ten fajerwerk najrozmaitszych nazwisk — Crommelynck, Apollinaire, Ionesco, Millington Synge, Corneille, Arbuzow, Robles, O'Neill, Bücher, Frisch, Wisz-niewski — że wymienię ich jednym tchem — winien był przyciągnąć tu wszystkich, ko-go naprawdę interesuje Teatr i kto z jakąś głębszą myślą chce układać repertuar swego teatru.

A jednak krzesła łódzkie świeciły pustkami. Piszę to oczywiście metaforycznie, bo nie było pustych krzeseł. Ka-lisz bardzo przeżywał impre-zy teatralne, o bilety na spek-takle toczono boje.

Dalszy ciąg
na str. 6 i 7



Fot. E. Kudaj



Dokończenie ze str. 1

Z początku jednak było dość nieprzyjemnie. Zainaugurowano II Kaliskie Spotkanie Teatralne współczesną polską sztuką Jędrasiewicza, a nie sztuka, jaką kiedyś była „Zasada”, stworzył spektakl teatralny. Jest to historia o dyktatorze z bojową przeszłością w AL, który w piętnaście lat po wojnie zdecydował się zrobić „kant”. Wszystkiemu winna była jego piękna nudząca się żona — „la femme fatale”. Polski powiatowiej; strzeżmy się ładnych i młodych żon naszych dyktatorów. O tej żonie jest zresztą, najwięcej; autor prezentuje w formie skeczy cały zyciorys bojowy dyktatora; można tę szluzkę zacząć i skończyć w dowolnym miejscu, można z niej usunąć poszczególne sceny i też nie nie zaszkodzi. Nie ma więc w ogóle o czym mówić. Dodam, że pod względem aktorskim najbardziej interesującym okazał się młody aktor kaliski — Kazimierz Gaweł, a reżyserował sztukę Zbigniew Bessert.

Drugi spektakl teatru w Kaliszu okazał się bardziej interesujący. Zaprezentowano „Aniola i czartha” Fernanda Crommelyncka, mało znanego u nas belgijskiego pisarza, urodzonego w 1885 roku. Wyznaje, że sztuka ta zaskakiwała mnie ogromnie. Wydaje mi się, że gdyby reżyser Tadeusz Kubański odczytał ją właściwie, byłaby to najbardziej współczesna sztuka, jaką zobaczyliśmy podczas II KST. Bohaterem „Aniola i czartha” jest pan Ripace, choć nie ma go na scenie, nigdy go na niej nie widzimy. Poznajemy tylko jego żonę — piękną Leonę, która sygnalizuje ze wszystkimi młodzieńcami miasteczka, a także z własną pokojówką, lesbijką. Nie wiemy, co pan Ripace sądzi o swej żonie i jej postępkach. Gdy żona jego oddaje się amatorom, on wykazuje doskonałą obojętność, chrapie, aż ony dom się trzęsie. Kochankowie pięknej Leony zamyślają usunąć pana Ripace z tego świata i „machnąć” się za bogatą wdówkę, ona zresztą także gardzi i nienawidzi swego męża, bo

jest wstrętny, bo brzydko je, chrapie, nigdy nie mówi, ciągle czyta gazetę albo jeździ na polowania. Lecz nagle pan Ripace umiera. Bez niczyjej pomocy. Po prostu — umiera na atak serca. I oto w domu pana Ripace pojawia się jego... kochanka. Młoda, śliczna dziewczyna — Julia. Okazuje się, że pan Ripace tylko swej żonie wydawał się odrażający, nieciekawym, wstrętnym. Dla tej młodej dziewczyny był piękny, poetyczny, biegł z nią po murawie, pisał listy jak poeta, był czuły, wzruszający, namiętny, wspaniały.

Dwie kobiety rozmawiają

Kaliskie spotkania i nieporozumienia

o panu Ripace. O jednym i tym samym mężczyźnie. Lecz dla jednej to był „Czarta”, dla drugiej „Aniol”. Sztuka Crommelyncka powiada, że żona może obok męża przeżyć prawie całe życie, a jednocześnie nie o nim nie wiedzieć. A może sztuka ta mówi po prostu, że każdy mężczyzna jest inny dla każdej kobiety? Jedna kobieta potrafi z tego samego mężczyzny wydobyć warstwy najbardziej kłliwe i romantyczne, druga zaś — czyni go wulgarnym i wstrętnym? W każdym mężczyźnie jest i „Aniol” i „Czarta”.

„A może my mówimy o dwóch różnych ludziach?” — woła w pewnej chwili pani Ripace. Nie, mówią o jednym i tym samym człowieku. Nigdy się zresztą nie dowiemy, jaki pan Ripace był naprawdę...

Niestety, chyba źle odczytano tę sztukę. Dostrzeżono w niej wyłącznie mechanikę narastającego mitu o panu Ripace, gdy w rzeczywistości jest to utwór o niepoznawalności człowieka, o tragicznym milaniu się ludzi, wzajemnym niezrozumieniu, nawet jeśli ludzie ci żyją z sobą pod jednym dachem, są mężem i żoną. Spektakl ten był ciekawy także i aktorsko. Starzycka, Hai-

del, Rząsa — stworzyły sylwetki głębokie i przekonujące.

„Drugi dzień II KST przyniósł spektakl poznańskiego Teatru Satyry, trzy jednoaktówki — „Piersi Tereźjasza” Apollinaire, „Lekcje” Ionesco i „Karola” Mrożka. Niestety, Apollinaire zupełnie nie sprawdził się na scenie, zestawienie zaś Ionesco i Mrożka w jednym spektaklu dość ostro pokazało ioneskowsy rodowód „Karola” i chyba całej twórczości Mrożka. Tylko Ionesco wyszedł tu obronną ręką, znalazł tu doskonałego wykonawcę roli profesora w aktorze Marianie Pogaszu.

Jakże żałowałem, że podczas tego spektaklu nie było w Kaliszu nikogo z łódzkiego „7.15”. Może dalby się przekonać, że miara ambicji tego typu teatru niekoniecznie musi być „Komedie omyłek” Szekspira, ale właśnie Ionesco. Przynosi on wielki i gorzki teatr, przynosi satyrę najwspanialszą jaką kiedykolwiek oglądałem.

Trzeci dzień II KST — to Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze z „Kondukiem” Drodzowskiego i „Przedziwnym kochankiem” Corneilla. „Kondukt” na scenie (reżyserował go Marek Okopiński) wydał mi się o wiele ciekawszy niż w czytaniu. Uderzał sprawnością dialogu, wyrazistością sylwek ludzkich, zabrzmiał świeżo — może właśnie dlatego, że jest on tak jednoznaczny, jednowymiarowy.

Na „Przedziwnym kochanku” Corneilla zdarzyło mi się coś zabawnego. Oto mój festiwalowy sąsiad, dziennikarz, który przez pierwsze dni KST bardzo wydziwiał, że sztuki dotychczas reprezentowane są trudne, że pewnie ich nikt nie rozumie, że trzeba grać klasycznie, bo klasyka jest dla mas — tenże dziennikarz wyszedł z teatru już po pierwszym akcie Corneilla. „No, przecież to klasyka” wołałem za nim. Ale nie wrócił. A przecież uroczą i naprawdę wspaniałą podającą tekst była w tym przedstawieniu Halina Winiarska. Dla niej samej warto było znieść na scenie „Przedziwnego kochanka”. Irregularna wydała mi się także scenografia Stanisława Ba-

ton Synga? Zdaje sobie przecież dobrze sprawę z funkcji, jaką powinien spełnić teatr w tak małym ośrodku jak Gnieźno. Jego zadaniem winna być walka z małomiasteczkowym kołtuństwem, z marazmem, z dulszczyzną. Czemu taki teatr nie bierze na warsztat Zapołskiej, Rittnera, czy czegoś w tym rodzaju? O co chodzi, przyjaciele? Czy o to, żeby tylko wystawić i grać? Czy o to, aby to co się gra współbrzmiało z życiem, z problemami środowiska w jakim teatr działa?

Piątego dnia II KST wystąpił Teatr Powszechny z Łodzi z „Kwiatami łódzkimi” Barbary Sowińskiej. W kolach krytyków obecnych w Kaliszu uznano występ Teatru Powszechnego w Łodzi za znaczny regres w stosunku do tego, co teatr ten zaprezentował w roku ubiegłym. Ja podpisuję się pod recenzją swojego czasu opublikowaną w „Odgłosach”. Reżyseria „Kwiatów łódzkich” Romana Sykały była solidna i pomyślna, a scenografia Józefa Rachwałskiego znacznie zyskała w moich oczach, gdy zestawiałem ją ze scenografią ogladanymi w Kaliszu. Ale po siedemnastu latach Polski Ludowej żąda się już od dramaturga nieco więcej niż dobrych intencji i politycznego zaangażowania. W teatrze bardziej może niż w innych dziedzinach sztuki uwidacznia się brak warsztatu dramaturgicznego.

Nazajutrz oglądaliśmy Teatr Dramatyczny z Warszawy z „Indykiem” Mrożka, w reżyserii Zbigniewa Bogdanowskiego. Uznany za najbardziej interesujący teatr polski — Teatr Dramatyczny zaprezentował tak niski poziom reżyserii i gry aktorskiej, że przez cały czas przedstawienia czułem się po prostu zażenowany. Sie działałem w trzecim rzędzie, a przecież dołatywało do mnie co dziesiąte słowo z kwestii wypowiadanych przez Ludwika Paka, Józefa Duriasza, czy Stanisława Wyszyńskiego. Aktorzy belkotali pod nosem, mówili w kulisy lub do siebie w sobie tylko zrozumiałym języku. Barbara Krafftówna dała zupełnie przedziwny poziom gry; najlepszy był Wojciech Pokora, choć chwilami szarżował niemożliwie. Reżyser okazał nieporadność, jak nie miał co począć z aktorem, to kazał mu stać i rozmyślać. Ani jednej dobrze rozwiązanej miszmar sceny. Daj Boże zdrowie prowincjonalnym teatrom.

Nie dziwię się, że Teatr Nowy z Łodzi zebrał wszystkie główne nagrody za „Historię o Chwałebnym Zmarłychwstaniu Pańskim”. Dali je krytycy, którzy widzieli warszawski spektakl „Zmarłychwstania”. Widziałem go także i ja — daleko mu do łódzkiego przedstawienia, do jego finezji, lekkości, wdzięku i liryzmu. Porównać te dwa spektakle, to tak samo jak byśmy chcieli zestawiać grubą podkuty buciur — z delikatnym wdzięcznym damskim pantofelkiem. Różnica ta nie polega oczywiście na reżyserii, wszak i tu i tam reżyserował Dejmek, przedstawienia obydwa są identyczne w swej koncepcji. Zaważyło aktorstwo — i tylko aktorstwo.

Sporo komentarzy wzbudziło samo zestawienie sztuk przywiezionych do Kalisza przez Teatr Nowy z Łodzi, „Obrońca Sokratesa” i „Chwałebne Zmarłychwstanie” — to wyłączenie inscenizacji Dejmekowskiej. Złośliwi nazwali to „wexsem bez pokrycia”, bo przecież pokrycie, to znaczy sam Dejmek jest już w Warszawie. Zyczliwi dostrzegli w tym brak wiary ze strony nowego kierownictwa teatru w siły swego teatru. Sądzę, że lepiej by się stało, gdyby Teatr Nowy zamiast „Obrońcy Sokratesa” przywiózł do Kalisza „Brytanika” w reżyserii Minca; inscenizacja ta była już przecież gotowa. Zresztą, można było przywieźć jeszcze coś innego, co pokazałoby, że teatr posiada młodych zdolnych reżyserów, że nie zrezygnuje ze swych ambicji.

Bardzo chłodno przyjęto w Kaliszu sztukę O'Neill — „Księżyc świeci nieszczęśliwym”, w reżyserii Jerzego Rakowieckiego, którą pokazał Teatr im. Osterwy z Lublina. Mimo dużej reżyserkiej klasy i chyba dość dobrego aktor-

JERZY S. FELIKSIK

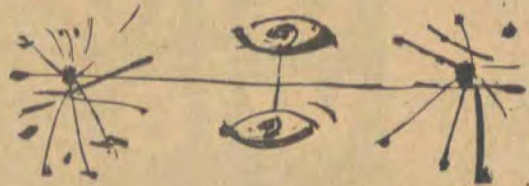
NA PRZEDMIEŚCIU

Na przedmieściu, gdzie wszystko jest jak chleb powszedni,
Stary cmentarz krzyżami zasmuca ulicę,
Szkoła stoi naprzeciw gwarnej jak gołębnik,
I śmiech dzieci się płacze z zadumą nad życiem.

Lecz codzienni przechodnie patrzą obojętnie
Tak na szkołę wesołą jak i chmurny cmentarz,
I nie słyszą, że dęby szumią dzieciom requiem,
A dzieci dla umarłych śpiewają o dębach.

Smutny dzwonn pod czas lekcji ogłasza pogrzeby,
I główki z ciekawości unoszą się z ławek,
Może któryś z tych chłopców czyta adres wiedzy,
Jak w książkę spoglądając na cmentarną bramę.

Na przedmieściu, gdzie wszystko jest jak chleb powszedni,
Dzieci nieraz przy grobach myślą o słodyczach,
Niechaj jednak się strzeże nauczyciel chemii
Chłopca, który wciąż pyta o zagadkę życia.



STARA CEGIELNIA

Dwie siwe brzozy i komin cegielni
Stoją za miastem pod jednym obłokiem.
Rudzi ceglarze glinę kładą w ogień
Jak niegdyś chłopcy ziemniaki w popielnik.

Stara cegielnia pod białym obłokiem,
Choć niepiękna jeszcze jest potrzebna.
Nieprędko znajdzie w niej miejsce włóczęga
Na swoje życie przetarte jak łokieć.



stwa, jakie pokazała zarówno Danuta Nagórna i Aleksander Aleksi, zaważyła chyba sama sztuka, jej problemy trochę zwietrzałe. Okazuje się czymś bardzo ryzykownym grać dzisiaj O'Neill, który odnosił kiedyś ogromne triumfy.

Natomiast „Montserrat” Roblesa w reżyserii Lecha Kormanickiego, spotkał się z wielką życzliwością i dużym uznaniem u widzów i krytyków. Zachwyciła wszystkich gra Stanisława Mikulskiego w roli Izquierdo. Spektakl był niezwykle jednolity, subtelny, miał bardzo dobrą scenografię Jerzego Toronczyka. Myślę, że była to najlepsza scenografia jaką oglądaliśmy w Kaliszu.

Nazajutrz przedstawił się nam Teatr im. Słowackiego w Koszalinie. Najpierw pokazał „Romeo i Julię” Szekspira w reżyserii Tadeusza Aleksandrowicza. Z teatrem tym przez długi czas związany był młot, że potrafi on dobrze inscenizować Szekspira. Młot ten przysnął podczas II Kaliskich Spotkań Teatralnych.

Zupełnym nieporozumieniem okazała się także „Leonca i Lena” Büchnera wydobyta przez ten teatr w ramach koszańskich teatralnych wykopków archeologicznych. Nigdy w życiu nie napatrzyłem się na tyle bieżący na scenie, po schodach w tę i z powrotem, po przeróżnych spiralach — ile w Teatrze Koszańskim. Ni gdzie indziej nie widziałem tyle pretensjonalności, co w tym właśnie teatrze. Odnosiło się wrażenie, że teatr ten —

przy swych bardzo skromnych możliwościach — pragnie zadowolić wszystkich. Dla tego teatru warto wskrzesić pojęcie „formalizm”.

Zakończył II KST dzień poświęcony Teatrowi Polskiemu z Poznania. Oglądaliśmy najpierw Frischa „Don Juana” czyli umiłowanie geometrii. Jest to chyba najstarsza sztuka Frischa, położył ją zresztą zupełnie Hieronim Kobięcki w roli Don Juana. Był niesympatyczny, pozbawiony wdzięku, w ogóle niedobry. Powiada Frisch w przedmowie do „Don Juana”, że don Juan nie dlatego jest niewierny, że jest niewierny, nie dlatego przechodzi od jednej kobiety do drugiej kobiety, że pragnie coraz nowszej rozkoszy, lecz dlatego, że kocha geometrię bardziej od kobiety, musi więc kobiety porzucać wciąż na nowo.

Można się pod tym podpisać lub nie. Ja się nie podpisuję.

Potem oglądaliśmy „Pierwszą konną” Wiszniewskiego w reżyserii Jana Perza. Sztuka wyreżyserowana i zagrana solidnie, dużo w niej młodych aktorów, którzy wyszli z Łodzi i chyba bardzo się rozwinieli poza Łodzią. Uważają oni, że poza Łodzią też można się rozwijać, może nawet szybciej i wszechstronnie.



Jest w tym trochę prawdy. Bo na przykład prawdą jest, że podczas II KST w kawiarniach kaliskich odbywały się spektakle przeróżnych teatrów propozycji. Teatr Propozycji z Kalisza przedstawił „Eurydykę” J. M. Rymkiewicza, a Teatr „Pięciu” z Poznania „Eutydemę” Platona, a nawet Gniezno posiada teatr Propozycji i pokazało Rittnera „Od-wiedziny o zmroku”. A Łódź?... Eee, lepiej nie mówić.

II Kaliskie Spotkania Teatralne nasunęły mi wiele refleksji. Jasnym stało się dla

mnie to, co do tej pory tylko przeczuwałem. Dyrektorów teatrów prowincjonalnych dręczy ambicja, dręczy kompleks niezauważenia przez krytykę warszawską. Aby zostać zauważonym, dostrzeżonym — dokonuje się najróżniejszych sztuczek, kopie się, grzebie, wy-ciąga z lamusa — a nuż to chwyci, zachwyci, zwróci czy-jąś uwagę? Odczuwa się zgubną w skutkach gonitwę za prapremierami za wszelką cenę, i to nie prapremierami sztuk współczesnych, ale ótrzepanych z kurzu w rodzaju

„Leonce i Lena”. Próbuje się zaszokować nazwiskami, których nikt nie zna, sztukami, których się nigdy nie grywa i nie grywało, żeby tylko powiedzieć w Warszawie: „Patrzcie, taki gra-dolek, a gra-ją coś takiego, co u nas nikt się nie ośmieli zagrać”. Teatry stają na głowie, na rękach, na jednej nodze na drugiej nodze, w czapeczkach z dzwonkami, w blazeńskich strojach — byle tylko ktoś je dostrzegł, zauważył. Byle urósł mił, pochlebny, a osiągnięty takim kosztem. Nie w'dać jakoś, aby

myślano o dobrej warsztato-wej robocie na sztukach sprawdzonych, mądrych, noszących współczesne treści. Nikt nie myśli o służeniu swemu środowisku, o kształtowaniu jego gustów, zmienianiu jego umysłowości i obyczajowości, a tylko o zabłyśnięciu czymś nowym i nieoczekiwanym. Skutki takiej postawy będą kiedyś bardzo opłakane.

Z drugiej jednak strony istnieje wielka sprzeczność między przewyciężeniem. Publiczność na prowincji żąda klasyki, którą rozumie. A jednocześnie teatry na prowincji

nie są w stanie unieść repertuaru klasycznego — przekonał mnie o tym niezbitcie spektakl „Romeo i Julia” Szekspira zaprezentowany przez Teatr Koszaliński lub Corneille w Zielonej Górze. Teatry na prowincji najlepiej ukazują się w sztukach współczesnych. A jednocześnie tych sztuk właśnie najbardziej się lękają.

Nowoczesna sztuka niosąca z sobą współczesne treści ludzkie — z trudem dociera do teatrów na prowincji. Na razie przede wszystkim dotarły tam nieporozumienia związane z pojęciem nowoczesności. Zamiast niej pojawia się dziwactwo, próbuje się wy-

kopków archeologicznych, galwanizuje się obumarłe nazwiska. Wszystko to w imię „nowoczesności” którą w końcu przeciętny widz teatralny zacznie nienawidzić, nie zdając sobie sprawy, że podano mu do zjedzenia nie soczyste jabłko, lecz drewniany, pomalowany rekwizyt teatralny, na którym można sobie polamać zęby.

ZBIGNIEW NIENACKI

odgłosu

str.

7